



Zdzisław Morawski

Epilogi krucjat w XV wieku

Armoryka

ZDZISŁAW MORAWSKI

EPILOGI KRUCJAT
W XV WIEKU
I INNE STUDJA RENESANSOWE

KRAKÓW 1924

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

BIBLIOTEKA TRADYCJI EUROPEJSKIEJ, Nr 73

Redaktor serii: Andrzej Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Andrea Vicentino (1539-1614), *The Crusaders Conquering the City of Zara in 1202*,
licencja public domain, źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Siege_of_Zadar.jpg.

This file has been identified as being free of known restrictions under copyright law,
including all related and neighboring rights.

Copyright © 2015 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-083-2

[Kup książkę](#)

EPILOGI KRUCJAT
W XV WIEKU

I

PO WZJĘCIU KONSTANTYNOPOLA.

Jednego z pierwszych dni maja 1481 r., w zmierzchach zapadającego wieczoru, przesuwiał się zbrojny orszak gwardji sultańskiej przez wąskie uliczki Stambułu. Ludzie i konie byli zdrożeni, jak po długim marszu, a konwój otaczał niesioną pośrodku bogatą lektkę. Tylko szczerlnie zasunięte firanki nie pozwalały zajrzeć do jej wnętrza. Dopiero kiedy pochód zniknął pod portykiem wielkiego seraju i bramy się za nim zawarły, gruchnęła po mieście wieść, że to sułtan Mahomet powrócił niespodzianie z Anatolji, dokąd był niedawno na nowe wyruszył boje. I w istocie, wracał to ów słynny z przed trzydziestu lat zdobywca Konstantynopola do stolicy, ale tym razem wracał do niej w trumnie. Śmierć zabrała go prawie nagle w obozie wśród anatolskich stepów, gdzie gotował się na wałną rozprawę z rodyjskim Zakonem św. Jana. Że jednak przy zmianie rządów często wybuchały rozruchy i że sprawa następstwa tronu nie była jasno określona, więc wielki wezyr postanowił zgon swojego pana utrzymać w tajemnicy, póki by powiadomieni gońcami o śmierci ojca synowie zmarłego nie zdążyli przybyć ze swych azjatyckich obozów do stolicy i jeden z nich, jako nowy sułtan, nie objął w niej władzy.

Ze zmarłym Mahometem II zniknął z widowni długoletni postrach chrześcijańskiego świata. Wygrana w przededniu jego panowania przez Turków bitwa pod Warną otworzyła mu zwycięski pochód na Europę, i słusznie mógł orator Kazimie-

rza Jagiellończyka, Lutek z Brzezia, w gromkich na sejmie w Ratyzbonie królom i książętom chrześcijańskim wyrzucać słowach,¹ że nie poszli za głosem króla Władysława: »bo żeby nie jego zgon, nigdy nie byliby Turcy śmieli targnąć się na Konstantynopol, aż dopiero po tym ciosie przyszedł upadek, po tej klęsce runęły w proch mury samego Bizancjum«. Istotnie bowiem upłynęło zaledwie lat dziewięć od klęski warneńskiej, kiedy Mahomet II, następca zwycięskiego w tej bitwie Amurata, zdobył w r. 1453 Konstantynopol.

Pierwszą wieść o pogromie Cesarstwa Wschodniego i towarzyszącej mu rzezi nad Bosforem otrzymali Wenecjanie; ale dokładną relację o tem, co zaszło, przywiózł dopiero później do Rzymu świadek naoczny wypadków, metropolita kijowski Izydor. Po zamordowaniu cesarza Konstantyna Paleologa przez dzikich zdobywców, wyratował się sam, jakby cudem, wdziwając na siebie świecki strój, ściągnięty z poległej jakiejś ofiary, którą dla zmylenia pościgu we własną, kardynalską przyoblekł szatę. Niepoznany, ale wzięty przecież w niewolę, zdołał zbiec i dotarł do Rzymu. Jego i innych uchodźców opowiadania wywołały ten skutek doraźny, że podjętą przez zasiadającego w owej chwili na stolicy Piotrowej Mikołaja V myśl krucjaty witano zrazu wszędzie z zapalem i że kornie słuchano bulli papieskiej, wzywającej wiernych na ratunek chrześcijaństwa. Posłuch ten nie płynął bynajmniej z litości nad losem podbitych Greków, którzy fałszem, obłudą i okazywaną przy każdej sposobności nienawiścią do łacińskiego Zachodu odstrychnęli go byli w ciągu wieków od siebie zupełnie. Ale odczuwano powszechnie, jak przełomowej doniosłości zaszedł fakt, skoro runął najstarszy twór polityczny świata, owo Cesarstwo Wschodnie, które przedstawiało bądź co bądź tradycję Konstantyna Wielkiego i Teodozjusza, a przetrwało o lat prawie tysiąc stare państwo rzymskie. Silniej zaś jeszcze

¹ *Codex epistol.* T. I, CXXXV.

działała na wszystkich trwoga o los własny, odkąd zawalił się mur, który odgraniczał chrześcijan od muzułmanów. Od stu lat bowiem, od zdobycia Adrianopola, a następnie rozgromienia Serbów na Kosowym Polu, ujawniał się coraz groźniej jakby żywiołowy pęd Turków na Zachód. Znano już tam co prawda islam od czasów osiedlenia się Maurów w Hiszpanji. Ale jeżeli arabskie szczepy wiodły zawsze ze sobą uczonych swoich, budowniczych i artystów i wносиły na zdobyczne ziemie obcą Europie, lecz starą i twórczą swą cywilizację, to śladem Turków szło tylko zniszczenie i zagłada. O najdalsze okolice odbijało się złowrogie echo gwałtów, jakich się dopuszczały janczary, a trwoga pomiędzy ludem rosła wskutek tajemniczości, otaczającej po wszystkie czasy daleki Wschód i jego mieszkańców, skąd pędziły teraz na świat chrześcijański gnane naprzód pod znakiem półksiężyca hordy. Niezapomniane żyły bowiem w tradycji opowiadania powracających z świętych wypraw Krzyżowców, baśnie o onych odległych krainach, jako o zaczarowanej ojczyźnie różnych dziwotworów, wampirów i smoków, inkubów i czarnoksiężników. A Osmanowie uchodzili, i słusznie, za najdzikszych tego Wschodu synów, i jeżeli ten lub ów przedstawiciel islamu wybielał we wyobraźni ludowej i wyszlachetniał, jeżeli n. p. bohater z trzeciej wyprawy krzyżowej, egipski sultan Saladyn, wszedł do ówczesnej nowelli włoskiej jako wzór wielkoduszności rycerskiej, to na odmalowanie Turków dobierali pisarze z owej epoki jak najczarniejszych barw, przypisując im potworne wręcz właściwości. »Turcy — pisał Eneasz Sylwjuś¹ — to naród krwiożerczy, który się żywi chętnie tem, czem inni ze wstrętem gardzą, jako to mięsem wilków i sępów, a co obrzydliwsze, nawet poronionym płodem ludzkim... Religję zaś swoją opierają na zmysłowej rozkoszy i chuciach«.

¹ *Pii II P. Max. Asiae Europaeque elegantiss. descriptio.*
Ed. 1531.

W ślad za pierwszą wieścią o upadku Bizancjum nadeszła z muzułmańskiego już teraz Stambułu wnet druga, bodaj jeszcze groźniejsza, do Rzymu: donoszono tam mianowicie, że Mahomet cofnął się wprawdzie narazie do Adrianopola, ale że na Bosforze buduje flotę, jakiej świat jeszcze nie widział, i gotuje się na podbój całego chrześcijaństwa. Od wybrzeży Morza Czarnego, które po zdobyciu Konstantynopola było już morzem tureckiem, zagrażało niebezpieczeństwo południowym granicom Polski; Węgry, najbliżej wystawione na napad Osmanów, stanowiły wąską już tylko ściankę, zasłaniającą samo cesarstwo; na Rzym zaś, za jego nawoływanie do krucjaty, na Wenecję i na Neapol, za ich współzawodnictwo z Turkami na morzu Śródziemnem, zwracał się szczególny gniew i zawiść sultana. Daleko idące obawy, jakie przejęły wówczas cały Zachód, wyrażał najlepiej ów mnich francuski, kiedy zapisywał, że Mahomet gromadzi wojska i okręty: *pour aller à Rome en faire autant qu'il avait fait à Constantinople et qu'il pensait détruire, et gaster toutes les Ytalies et aller ficher son estendart sur les hautes tours de nostre dame de Paris*.¹

Ale mimo powszechnej świadomości grożącego wszystkim niebezpieczeństwa, węzły, które w XI, XII i XIII stuleciu były jeszcze dość silne, aby skupić ludy chrześcijańskie pod wspólny znak Krzyża, rozluźnił odtąd tak doszczętnie budzący się wszędzie u schyłku średnich wieków narodowy lub dynastyczny indywidualizm, że na krucjatę było już zapóźno. Włochy, rozdarte rywalizacją pojedynczych swoich części, nie sięgały wzrokiem poza graniczne tych części spory. Na południu dy-

¹ »...aby ruszyć na Rzym i uczynić z nim to, co uczynił z Konstantynopolem, i że zamysłał zgładzić i zniszczyć całe Włochy i pójść zatknąć sztandar na wysokich wieżach Najświętszej Panny w Paryżu«. *Les fleurs des hystoires de la terre d'Orient, compilées par frère Hecyon* (cyt. w L. Thuasne, *Djem-Sultan, étude sur la question d'Orient à la fin du XV siècle*. Paris, Leroux, 1892).

nastja Aragonów, złączywszy właśnie Neapol i Sycylię pod wspólne berło, strzegła go zazdrośnie przed wznawianiami ciągle, a popieranemi przez Francję pretensjami rodu andegawenckiego, który przedtem władał Neapolem. Na północy, wśród obustronnego wyczerpania, dogasały zaledwie długoletnie walki Medjolanu z Wenecją: w Lombardji zakładał najdzielniejszy i ostatni z wielkich kondotierów, Francesco Sforza, spajając spuściznę po Viscontich, dziedziczne księstwo dla swego rodu; sąsiednia zaś Wenecja, wypierana na morzach przez wzrastającą turecką przemoc, wrzynała się coraz głębiej w stały ład włoski i przemieniała z wyłącznie dotąd morskiej także i na lądową potęgę włoską, wmieszaną przez to samo we wszystkie wewnętrzne spory i waśnie appenińskiego półwyspu. W sercu wreszcie Włoch, w burzliwej Florencji, po dwóchsetletnich walkach, ciągłych przewrotach i zmianach rządu, zagarniał właśnie Kosma Medyceusz władzę w zręczne kupieckie swoje dłonie i rzucał podwaliny pod zamaskowane zrazu i bezimienne jedynowładztwo swego domu, który miał przez trzy wieki panować w Toskanji. Na tworzenie nowych rodowych potęg, Aragonów, Sforzów, Medyceuszów, a przeistaczanie Wenecji w państwo włoskie na *terra ferma* skupiał się wyłącznie i zestrzeliwał wsilek włoskiego ducha, a ćwiartowało się włoskie ciało.

Nie podatniejszym bynajmniej gruntem dla zespolenia się w krzyżowej wojnie była i reszta ówczesnej Europy. Na półwyspie iberyjskim chrześcijańskie królestwa Aragonu i Kastylji wywalczały z trudem i wywalczać miały jeszcze aż po sam koniec XV stulecia w nieustającej niejscowej krucjacie przeciw Maurom podstawę przyszłej, wielkiej Hiszpanji. Francja, wycieńczona stuletnią wojną z Anglikami, zbawiona cudem Dziewicy Orleańskiej, goiła w uciszeniu powracającego wreszcie pokoju rany, zadane jej pod Crécy, Poitiers i Azincourt. Anglja natomiast, do niedawna zwycięska i silna, pod słabym teraz rządem ostatniego z Lancastrów staczała się szybko wśród

kłótni poszczególnych gałęzi rodu Plantagenetów do bratobójczych walk Białej i Czerwonej Róży. Niemcy, gdzie władza cesarska już od zmięchu Hohenstaufów zbladła na cień, teraz, odkąd berło przeszło w bezsilne ręce Fryderyka III, kruszyły się i stawały celem i stawką w grze politycznej ambitnych sąsiadów, książąt Burgundzkich, Węgier i Czech. W Polsce na koniec, polityka Kazimierza Jagiellończyka, zwrócona w onej chwili na Zachód, gotująca się właśnie długa wojna z Zakonem krzyżackim o Prusy, wreszcie nagły wzrost na północy moskiewskiego państwa, w którym wylaniał się nowy a groźny dla Polski i Litwy sąsiad, spychały również na dalszy plan sprawę turecką.

Wśród tak rozbieżnych interesów i celów, a w ogólnym zamęcie, zatliła się więc wprawdzie na chwilę, ale jak dym znów rozwiała zapóźniona myśl krzyżowej wojny, i słuszenie oceniał Eneasz Sylwiusz zaszłą na świecie zmianę, kiedy w onych dniach ze smutkiem pisał: »Każdy kraj ma swego księcia, każdy książę własną swoją sprawę. Czyżby wymowa zdołałaby tyle zwaśnionych między sobą i wrogich potęg pod jednym skupić znakiem? Któżby stanął na ich czele, gdyby szły w szeregu? Ktoby je utrzymał w porządku i posłuszeństwie? Któż ma być takiej trzody pasterzem? Kto zrozumie te mnogie a różnolite języki, któż potrafi ludzi o tak odmiennych właściwościach i obyczajach skupić i powieść społem? Gdzież jest ten, coby zdołał pogodzić Anglika z Francuzem, Genuńczyka z Aragonem, Niemca z Węgrem lub Czechem? Tak-to dziś bowiem świat chrześcijański wygląda.«¹ W słowach tych brzmi istotnie jakżeby lament obumierających średnich wieków nad rozpadaniem się w kawały zwartej aż po tę chwilę społeczności chrześcijańskiej, a taka skarga podwójnie uderza na ustach człowieka, który pomimo wolnej od wszelkich złudzeń znajomości położenia nie wahał się prze-

¹ Aeneas Silvius, *Epistolae* 127.

cież poświęcić własnego życia na najzarliwsze apostołstwo wojny z półksiężcem.

Przestrach wywołany pierwszą wieścią o upadku Konstantynopola ustąpił też wnet miejsca rezygnacji, a za nią szło u wielu zupełne zobojętnienie wobec dokonanego faktu. Niektóre rządy, jak n. p. wenecki i florencki, dla salwowania handlowych swych interesów na Wschodzie poczęły nawet w praktycznem wyrachowaniu szukać odrazu zełknienia z pogromcą chrześcijan, ze zwycięskim Mahometem II. Rok za ledwie upłynął od katastrofy, kiedy Wenecjanie już zawarli z sultanem traktat, w którym stwierdzali z naciskiem wzajemny »pokój i przyjaźń«, a obiecywali w niezaszczytnym dla Rzeczypospolitej św. Marka paragrafie »nie brać udziału w żadnem przeciw tureckiemu państwu lub sultanowi skierowanemu przedsięwzięciu«.¹ Właściwie więc jedna tylko Stolica Apostołska nie ustawała w zabiegach, aby pobudzić narody chrześcijańskie do wspólnej akcji na pomstę za chrześcijańską klęskę. Toteż w wieku XV, w czasach tak groźnego pod wpływem polityki wewnętrznej włoskiej i spaczonych prądów humanizmu zeświecczenia kurji rzymskiej, wytrwałe jej usiłowania w tym kierunku wypełniają najjaśniejsze bodaj, bo licujące z powagą i posłannictwem papieży, karty ówczesnych ich dziejów. Wojna krzyżowa jest kością pacierzową polityki, pobudką i celem wszelkich poczynań dwóch bezpośrednio po Mikołaju V (za którego pontyfikatu padło Bizancjum) następujących po sobie papieży. Kalikst III Borgia wnosił w to apostołstwo wrodzoną każdemu Hiszpanowi nienawiść do islamu i półksiężycu. Zaraz na samym wstępie swoich rządów, poprzysiągł uroczystie, że gotów będzie przelać krew i oddać życie, byle wydrzeć Konstantynopol z rąk »czarciego syna«, Mahometa. Celu tego dopiąć nie zdołał. Ale dożył zwycięstwa, odniesionego pod

¹ Zinkeisen, *Geschichte des osmanischen Reiches in Europa*, 2 Bände, Gotha 1840—56.

Belgradem, gdzie dzielność Hunyadego i święty zapal Jana z Kapistranu wstrzymały pędzącą na Węgry nawałę turecką. Pierwszy z nich prowadził, drugi, z krzyżem w rękę, zagrzewał do boju szczupłe siły Krzyżowców. Składały się one przeważnie z źle uzbrojonych, ubogich mieszczan, z chłopów, studentów i mnichów, skupionych w szeregu wokoło nielicznej garstki landsknechtów niemieckich oraz trzystu żołnierzy polskich. Nie poszła na marne płomienna wymowa Kapistrana, który na krótko przedtem, wezwany przez Kazimierza Jagiellończyka, apostołował w Polsce, kiedy teraz ci rycerze z ponad Wisły mężnie stawali w obronie wiary nad brzegami Dunaju.

Radosnem echem odbiła się wieść o bitwie pod Belgradem na całym Zachodzie i Kalikst III utrwalił pamięć tego zwycięstwa ustanowieniem obchodzonego odtąd przez Kościół solennie święta Przemienienia Pańskiego. Ale jeżeli wygrana Krzyżowców zahamowała na chwilę zwycięski pochód sultana Mahometa na północ, jeżeli dozwoliła wytchnąć Węgrom, to nie zdołała przecież unieruchomić potęgi tureckiej na dłuższy okres. Przeciwnie, jak polip długie swe ramiona, tak wyciągali Turcy ze stołecznego Stambułu zbrojną dłoń w coraz to inne strony. Już w dwa lata po bitwie pod Belgradem zdobyli Peloponez i Attykę, i ze stropu Partenonu, przemienionego na meczet, powiała zielona chorągiew Proroka; w r. 1459 zadał Mahomet II cios śmiertelny Serbji i obrócił kraj cały w perzynę; na rok 1461 przypadają zaś walki tureckie nad Euksynem, zakończone zajęciem księstwa Sinope i cesarstwa Trebizondy. A kiedy w dziesięć lat po wzięciu Konstantynopola ujarzmił Mahomet w r. 1463 Bośnię, państwo tureckie w Europie rozciągało się już od wybrzeży Morza Czarnego aż po posiadłości Wenecjan w Dalmacji. W parze ze zdobyczami na lądzie szły podboje na morzu Śródziemnem i coraz to inna wyspa przechodziła pod władzę turecką. Tylko Rodus, strzeżony czujnie przez Zakon rycerski św. Jana, odpierał zaciekle

szturmy wojsk Mahometa i potężne jego mury obronne wyrzucały się dumnie z wód archipelagu, jako ostatnia warownia, znaczone znakiem Krzyża na Wschodzie.

II

ŚMIERĆ PIUSA II.

Kaliksta III, obok obowiązków obrońcy powierzonej mu trzody, zagrzewała do walki z islamem burząca się w jego żyłach krew hiszpańska. Jego następcą, Eneasza Sylwiusza Piccolomini, wyniesiony na Stolicę Apostolską pod imieniem Piusa II, poświęcił cały swój pontyfikat tej samej myśli i tym samym usiłowaniom. Z troską o powierzona mu chrześcijańską społeczność łączyła się u niego atoli z pewnością troska o los cywilizacji Zachodu, której on właśnie najdoskonalszym może był przedstawicielem, a której groził zagładą stanowiący żywą tę kulturę negację islam turecki. Bystrego umysłu i szerokiej wiedzy, wykwinny orator i stylistą, historyk naprzemian i poeta, obdarzony ponadto rzadkiem na owe czasy poczuciem piękna natury, które tak urozmaica i krasuje jego pisma, wielbiciel starożytności i wczesny miłośnik jej zabytków, a przytem doświadczony mąż stanu i zręczny dyplomata, znający świat, którego spory kawał w rozmaitych poselstwach przebiegał, jak i ludzi, z którymi się stykał i których umiał sobie jednać, — jest ten papież-humanista jedną z najbardziej zajmujących postaci włoskiego *quattrocenta*. Zamłodzie wciągnięty w wiry soboru w Bazylei, dokąd przybył w świetle kardynała Capranica, złączył się on tam z obozem zwalczającym papieża Eugenjusza IV i poszedł w służbę wybranego przez zbuntowany sobór antypapieża, Feliksa V. Ale wywołany tym wyborem nowy, po zażegnanej od niedawna z takim trudem schizmie, rozłam Kościoła zniechęcił go prędko do nowego protektora, aż po kilkakrotnej jeszcze zmianie posad i obo-

wiązków ustalił swój los nareszcie, wstępując do kancelarii cesarza Fryderyka III. Przez cały ten okres ruchliwej swej młodości płynął on w pełni z pogańskim prądem, który porrywał większą część ówczesnych humanistów. Świadczą o tem wcześniejsze jego pisma, listy lub wiersze zabarwione erotyką, oraz owa słynna, a więcej niż wątpliwej moralności powieść o Euryalusie i Lukrecji, pod którym to klasycznym pseudonimem krył się romans kanclerza cesarskiego, Kaspra Schlicka, i pięknej małżonki patrycjusza sienneńskiego de Camilli, który nosił jakby przeznaczeniem napiętnowane imię Menelasa. Jest to epoka w życiu Eneasza Sylwjusza, kiedy wzorem mu był zażywający wówczas w gronie humanistów tak wielkiego miru i wzięcia uczony i szczęśliwy odnalazca tyłu pomników starożytnej literatury, a lotny i błyskotliwy Poggio. Naśladowując go, nie staczał się przecież Piccolomini nigdy do sprośnych odmetów, w jakich się nurzał często w pismach swoich Poggio. Był również zbyt wykwinny, żeby w polemice, acz nieraz ciętej, zniżać się do karczemnej inwektywy, jaka w XV w. bywała zwykłą bronią w ciągłych pomiędzy sobą sporach nadętych bezmierną zarozumiałością i zawistnych humanistów. Takiego obrzucania się błotem i kałem, jak n. p. w literackich walkach tegoż właśnie Poggia z Filelfem lub Vallą, nie znajdzie w dziejach piśmiennictwa nigdzie: spory autorów starożytnych, nieprzebiegających z pewnością także w wyborze broni, zabarwiał, ale i polerował przecież ton satyryczny; kłótnie francuskich encyklopedystów z XVIII wieku uszlachetniał dowcip, — w inwektywie humanisty włoskiego z XV w. niema natomiast nic, prócz grubiańskiej obelgi i oszczerstwa.

Od takich zboczeń uchroniło Eneasza Sylwjusza, związanego zresztą zamłodu ściśle z temi kołami humanistów we Włoszech i żyjącego ich życiem, wczesne wprzągnięcie w szerokie sprawy światowej polityki. Ale dopiero w pełnym wieku męskim spostrzec się u niego daje pogłębienie pojęć moralnych i spoważnienie poglądów, kiedy najpierw siebie samego,

potem cesarza Fryderyka i Niemcy usiłował wywieść z manowców, na jakie ich był zepchnął sobór bazylejski. Liczył już lat przeszło czterdzieści, gdy został subdiakonem, a zachowany z owych czasów list do przyjaciela pozwala zajrzeć głębiej w jego duszę. »Biada temu — pisał — i nie wart miłosierdzia Bożego, kto nie odszuka wreszcie lepszej części w swoim wnętrzu i nie nagnie wedle niej żywota... Co do mnie, to nabłakałem się dosyć i zanadto: oby już tylko nie było na mnie za późno«. Moralizujących zwrotów nigdy nie brak w najbardziej nawet płochych pismach humanistów. Jest to poczęści skutkiem tak znamiennego dla owych czasów poplątania etyki pogańskiej z nauką chrześcijańską, a poczęści czcą, ale utartą formułą retoryczną. Tylko w tym wypadku dalsze życie Eneasza Sylwjusza świadczy o szczerości jego wynurzeń. Wmieszany w grę polityczną świata, ocenił on może najtrafniej ze współczesnych wielkie zagadnienie chwili, czyli grożące Europie od strony tureckiej niebezpieczeństwo. Odtąd obrona Zachodu i chrześcijaństwa stała się wytyczną jego myśli i działań, a że człowiek rośnie w miarę wyższego celu, więc i charakter Eneasza Sylwjusza, dotąd zbyt chwiejny i giętki, nabrał z tą chwilą stałości i hartu. Odtąd też stał się on przykładem rzadkiego zestroju humanizmu z nauką chrześcijańską. Humanistą bowiem pozostał do końca, wierny zwierzeniom, przelewany w chwili przełomowej życia w duszę jednego ze swych przyjaciół, kiedy do niego te charakterystyczne pisał słowa:¹ »Lekceważę ja sobie uciechy doczesne i chciałbym tylko służyć Bogu. Ale że jestem miłośnikiem piśmiennictwa — *amator litterarum*, — nie wiem, w jakim zawodzie lepiejbym zdołał podobać się Bogu, co w zawodzie literackim«. Humanistą jest więc Pius II, kiedy skromne swe miasteczko rodzinne, Corsignano, rozbudowuje w klasycznym stylu Odrodze-

¹ *Briefe des Aeneas Silvius vor seiner Erhebung auf den päpstlichen Stuhl*. Edit. Voigt. Nr 127.

nia i przemienia w piękną Pienzę; humanistą, kiedy urządza ową słynną procesję Bożego Ciała w Viterbo, gdzie kardynałowie współzawodniczyli w przepychu dekoracji ulic i pochód kroczył wśród malowanych i żywych obrazów, przedstawiających sceny z Pisma św. albo alegorje; humanistą w szumnych, suto retoryką kraszonych oracjach, po których zaświadcza mu współcześni, że *nihil Pii concionantis maiestate sublimius*;¹ humanistą w płynnej i wykwintnej łacinie bulli i listów; humanistą wreszcie w spisywanych do końca życia *Commentarii rerum mirabilium*, w tym najwcześniejszym bodaj w literaturze pamiętniku i formy tej odtąd pierwowzoru, a niezrównanem istotnie zwierciadle nietylę. może samej duszy autora, co otaczającego go świata, ludzi i rzeczy, działań i wypadków, na jakie patrzył, będąc z natury — znów wedle własnego świadectwa — *varia videndi cupidus*, »ciekawym rozmaitych wrażeń« humanistą. Ale jedynym zato chyba w dziejach zarozumiałego humanizmu dokumentem jest owa słynna bulla z r. 1463, skierowana do uniwersytetu kolońskiego, oraz list w tej samej pisany epoce, w których Pius II odrzekł się błędnych lub płochych pism swojej młodości i wzywał wiernych, aby odrzucili Eneasza, a słuchali Piusa — *Aeneam rejicite, Pium recipite*.

Na pogodne rządy zdawał się przeznaczony ten papież o świetnych przymiotach umysłu, szerokiej wiedzy i doświadczeniu nabytem w światowych kancelariach, a o usposobieniu pokojowem i zgodnem. Sprawa turecka przemieniła atoli sześćioletni jego pontyfikat w cierniste pasmo rozczarowań i zawodów. Już w pierwszym roku jego rządów zwołany bullą *Vocavit me pius* do Mantui kongres nietylko spełznął na niczem, ale odsłonił w całej nagości niezgodę państw euro-

¹ »...że nic nie dorówna w majestacie przemawiającemu Piusowi«. Cribelli, *De expeditione Pii II in Turcas* (Muratori, *Rerum Ital. script.* t. XXIII).

pejskich, zaporę wszelkich wspólnych przedsięwzięć, oraz spory, jakie rozsadzały Włochy. Cesarz Fryderyk III, zamiast gotować się na świętą wojnę, rozpoczął był właśnie, w zмовie z magnatami węgierskimi, walkę o węgierską koronę z Maciejem Korwinem i ubezwładniał w ten sposób, zmuszając go do samoobrony, jedyny oręż, zwalczający dotąd szczęśliwie Turków. Stosunek Kazimierza Jagiellończyka do Stolicy Apostolskiej mąciła sprawa krzyżacka i krzyżackie intrygi. Toteż w przemowie posła polskiego, Jakóba ze Sienna, na mantuńskim kongresie, szumne słowa — jak trafnie mówi jeden z nowoczesnych historyków¹ — pokrywały sztucznie niechęć do współdziałania z Rzymem. Potrzeba było zresztą jeszcze lat stu i więcej, aby własne przeżycia nauczyły Polaków doceniać grozę turecką. Ale ciekawą, a niezmierzone widnokreśli dla polskiej polityki otwierającą myśl poruszył na kongresie tenże polski orator, kiedy radził połączyć z Zakonem rycerzy św. Jana Zakon Krzyżacki, wysiedlić go z Prus i osadzić dla walki z półksiężycem na jednej z wysp Śródziemnego morza. Równie niechętnie, a w każdym razie odwlekające jakiegokolwiek zobowiązanie co do wojny krzyżowej, było stanowisko zajęte przez Francję: uzależniała ona wszystko od rozwiązania poprzedniego kwestji neapolitańskiej i żądała cofnięcia inwestytury nadanej przez Rzym w miejsce Andegaweryczyków dynastji aragońskiej, co narażało papieża na niechybną wojnę z Neapolem. Podobnie i rządy państw włoskich odpowiadały na nalegania papieskie wymijająco, a próbowały kongres w sprawie tureckiej przemienić na trybunał dla spraw włoskich. Wenecja, handlująca po niedawnym porozumieniu się z Mahometem II swobodniej na Wschodzie, unikała wszystkiego, coby ją mogło narazić Turkom, a we Florencji cieszą się wprost ze wzrostu nowej potęgi, która zagrażała w pierwszej linii Wenecjanom i paraliżowała ich ruchy. Słusznie też

¹ Caro, *Geschichte Polens*. Część V.
Epilogi krucjat.

zaznacza wielki tej epoki znawca,¹ że jeżeli Włosi nie wzywali jeszcze Turków na pomoc w bratobójczych walkach, to jeden o drugim dobrze wiedział, żeby się w razie danym ani na chwilę przed takim nie zawahał krokiem; tak n. p. o Sismondzie Malatesta, panu na Rimini, sam Pius II w *Komentarzach* swoich niebawem pisał, że za lada sposobnością gotów był sprowadzić Turków na Włochy. Trudności na kongresie wznagalały się zaś jeszcze wskutek intryg w najbliższym otoczeniu papieża i w samym nawet kolegium kardynalskiem. Nie brakło bowiem i w tem gronie takich, którzy porozumiewali się wprost z dworami zagranicznymi, wpływali najpierw na zwłokę w obwołaniu kongresu, a podburzali następnie posłów do oporu przeciw szalonej, jak się wyrażali, imprezie papieża. Kiedy więc Pius II po całorocznem prawie trwaniu kongresu opuszczał Mantuę, z ciężką ją opuszczał troską. Dzięki jego energii ogłoszona była święta wojna, rozpisane na ten cel dziesięciny i poczynione zarządzenia dla werbunku wojsk i zbrojenia floty. Ale dla wielkiego przedsięwzięcia potrzeba było zapału, lub co najmniej dobrej woli. A ani pierwszego, ani nawet drugiego nie znajdował papież nigdzie.

Tak więc wśród niedołężnych i pozornych tylko przygotowań wojny krzyżowej upływały od wzięcia Konstantynopola dni, miesiące i lata, a tymczasem Turcy rozwielmożniali się coraz zuchwalej w nowych swych europejskich posiadłościach. Od czasu do czasu wieść o nowem zwycięstwie lub świeżej zdobyczy półksiężyca, niekiedy trwożna garstka uchodźców, chroniących się ze Wschodu na Zachód, i groźne ich opowiadania przypominały światu konieczność pogotowia. Każdą taką chwilę skwapliwie wyzyskiwał Pius II, wznawiał prośby, nalegania i zakłęcia. Ale wnet egoizm rządów lub panujących zagłuszał głos i rozwiewał jego nadzieje. Zaledwie uciszyło się nieco na północy włoskiej, gdzie pokój zawarty w Lodi po-

¹ Jakób Burckhardt, *Kultur der Renaissance*.

łożył nareszcie kres długoletniemu zmaganiu się Wenecji z Medjolanem, a już, w południowych tym razem Włoszech, wybuchął nowy pożar, rozpoczynały się nowe walki pomiędzy Aragonami a Andegawenńczykami, skutkiem ich był zaś nowy podział półwyspu na dwa wrogo stojące naprzeciw siebie obozy. We Francji natomiast i w Niemczech wschodziło coraz bujniej ziarno rzucone przez sobór bazylejski, i jakby zapowiedzią niedalekich grzmotów reformacji podnosił się przeciw autorytetowi papieskiemu groźny pomruk, którego bezsilny cesarz Fryderyk III nie próbował, a nowy król francuski, przebiegły Ludwik XI, nie myślał tłumić. W takich warunkach wznawiane nawoływania Piusa II do obrony przeciw Turkom nie znajdowały oddźwięku. Toteż stwierdzał on w swoim pamiętniku, że kongres w Mantui nauczył go nieufności, a dodawał z goryczą, że gdy posyła w sprawie wojny krzyżowej legatów na obce dwory, to przyjmują ich tam z lekceważeniem, nawet z urąganiem; że kiedy żąda na ten cel dziesięcin od duchownych, odpowiadają mu duchowni zuchwałem odwoływaniem się do soboru; że gdy wreszcie rozdzielaniem łask kościelnych usiłuje sam zasilić skarb na uzbrojenie Krzyżowców, to zarzucają mu zewsząd chciwość i skąpstwo.

I wtedy to, »wśród bezsennych nocy« — jak sam pisał — zrodziła się w przedwcześnie zgrzybiałym i złamanym na ciele, ale nieugiętym na duchu papieżu myśl, odbiegająca daleko od suchego samolubstwa, jakie cechowało współczesnych mu ludzi, — myśl, w której tlił jakoby ostatni jeszcze płomyk dogasającego idealizmu wieków średnich. »Napróżno — mówił — wołałem dotąd: idźcie, łatwiej może znajdzie posłuch, gdy zawołam: pójdźcie« — i postanowił ruszyć sam na wyprawę krzyżową. Zamiarowi, który odsłonił zrazu tylko przed najbliższem otoczeniem, sprzyjać się zdawały na chwilę warunki zewnętrzne. Bo znów, na chwilę właśnie, dalszy zdobywczy krok Turków na zachód obudził, jeżeli nie sumienie, to przynajmniej czujność państw, narażonych na bezpośrednie

niebezpieczeństwo. Z początkiem 1463 r. uderzył sultan Mahomet, pomimo traktatu zawartego z Wenecją, na resztę jej posiadłości greckich; wydane za zdradą greckiego księcia miasto Argos dostało się w ręce tureckie, a z kolei padł szereg innych grodów Peloponezu, któremi władała jeszcze Rzeczpospolita św. Marka. Niemal równocześnie spustoszyły zaś wojska tureckie Bośnię i zbliżały się wzdłuż wybrzeży dalmatyńskich do weneckiej Raguzy. Cierpliwość, cechująca dotąd postępowanie Wenecji w stosunkach jej z groźnym Mahometem, była na wyczerpaniu, bo rozchodziło się już o byt jej własny. Przytem śmierć miękkiego i ustępliwego doży, Pasquala Malipiero, i wybór jego następcy, Cristofora Moro, wzmocniły na lagunach stronnictwo skłaniające się ku wojnie. Jakoż stanął istotnie pomiędzy Rzeczpospolitą św. Marka a zagrożeniami przez ujarzmienie Bośni Węgry traktat zaczepny przeciw Turkom — i wojna wybuchła.

Zdawało się więc Piusowi II, że nareszcie doczekał się chwili ziszczenia wielkich swych zamiarów. Toteż pomimo zawodów, doznanych w Mantui, znowu zwołał przedstawicieli chrześcijańskich państw, tym razem do Rzymu. Ale znów piętrzyły mu się na drodze trudności. Okazało się bowiem ponownie, że na cesarzu Fryderyku, zawsze biernym i zawsze potrzebującym pieniędzy, nikt polegać nie mógł. Ludwik XI zaś nie tylko żadną się sam nie chciał wiązać obietnicą, ale odmawiał nadto wyznaczonego przez papieża na dowódcę wojsk krzyżowych Filipa, księcia Burgundji, od zaciągniętych wobec papieża w Mantui jeszcze zobowiązań. Włoskie wreszcie państwa przyrzekały wprawdzie pomoc w ludziach i w pieniądzach, ale w gruncie rzeczy zajęte były stokroć więcej kłopotami tureckimi Wenecji: Francesco Sforza pragnął z nich skorzystać dla zaokrąglenia Lombardji wybrzeżem liguryjskiem, a Kosma Medyceusz bez obsłonek radził papieżowi, żeby się nie mieszał w spory wenecko-tureckie, lecz czekał raczej, aż

obie walczące strony w długim zmaganiu zobopólnie wyczerpią się i zetrą.

Nic już nie mogło przecież wstrząsnąć postanowieniem papieża, który na konsystorzu z dnia 22 września 1463 r. ogłosił publicznie zamiar swój wyruszenia na czele wojsk krzyżowych na wojnę z Turkami. W długiej oracji,¹ która należała do najcelniejszych pomników krasomówczych tyle w nie obfitującego XV stulecia, roztoczył papież-humanista raz jeszcze obraz chrześcijańskiego świata, zagrożonego zalewem tureckim, wyliczał stracone już dla Krzyża ziemie, przypominał własne wysiłki, podjęte od początku pontyfikatu na odparcie wroga, i w płomiennych słowach wezwał wiernych na bój z półksiężcem. »Słaby na ciele — mówił — i piastujący godność, której rzeczą nie jest chwytać za oręż, nie pójdę walczyć żelazem. Ale pójdę śladem Mojżesza, który, gdy Izrael zmagał się z Amalechitami, wznosił na górze modły do Boga; tak i ja klękę na przodzie okrętu albo na szczycie wzgórza i wpatrzony w Przenajświętszy Sakrament wołać będę do Boga o zwycięstwo, a sercem skruszonym i kornem Pan nie wzgardzi«. Jako termin wyprawy nazначzył papież miesiąc czerwiec następnego roku, a na punkt zborny Ankonę, skąd jego galery, połączone z flotą wenecką i okrętami innych państw chrześcijańskich, powieźć miały wojska krzyżowe na Wschód.

Gorący apel Piusa II, roznoszony przez kaznodziejów franciszkańskich w najodleglejsze zakątki ówczesnego świata, a więcej jeszcze niebываły dotąd przykład głowy chrześcijaństwa, stającej osobiście na czele wyprawy krzyżowej, nie pozostał bez skutku. We Francji i w Hiszpanji, w Burgundji i w Niemczech, nawet w dalekiej Szkocji, zrywano się ochotnie, aby pójść za głosem wołającego papieża. Tylko papież żądał przezornie, aby jedynie ludzie uzbrojeni i wyposażeni

¹ *Pii II P. M. Commentarii rerum mirabilium. Romae, ex typ. Dom. Basa, 1584, w księdze XII.*

choćby na pierwsze miesiące ruszali w drogę. Tymczasem oziębłość książąt i niechęć rządów sprawiły, że ciągnący na wyprawę ochotnicy nie mieli ani broni, ani pieniędzy, że bez przywódców i dyscypliny szli w nieładzie, dając się ciężko we znaki okolicom, przez które kierował się ich pochód. Ponadto sprawa dowództwa nad gromadzącymi się siłami była wciąż w zawieszeniu, bo na wiosnę 1464 r., a więc przed samym terminem wyprawy, upatrzony na wodza książę Burgundzki jął się pod naciskiem dworu paryskiego wykręcać, w nowe i przewlekłe ze Stolicą Apostolską wdawać układy, aż wreszcie zażądał zwłoki na cały rok. Nakoniec zachwiała się i najpewniejsza dotąd ostoja nadziei papieskich: checiwa zdobyć Wenecja witała chętnie przymierze z Węgrami i z papieżem, gdyż atak od granic węgierskich odciągał część sił tureckich z południa nad Dunaj i ułatwiał jej upragniony podbój straconego Peloponezu; w powszechnej natomiast krucjacie upatrywała tylko niepożądany przyrost współzawodników przy podziale łupu. Sam doża próbował wykrętów i wymawiał się podeszłym wiekiem od osobistego we wyprawie udziału, aż mu dzielny Vettore Capello na pełnej przypomniawszy Radzie, że gdzie się rozchodzi o dane słowo, a więc o cześć Wenecji, tam potrafi go ona zmusić choćby przemocą, aby wsiadł na okręt i powiódł flotę na wrogów.

Tak więc w chwili stanowczej czuł się Pius II coraz bardziej opuszczonym i ograniczonym do własnych tylko sił, a opornie w samym nawet Państwie Kościelnem wpływające dziesięciny na wojnę nie starczyły na większe zbrojenia. Z kardynałów zaledwie kilku, jak oplakujący ujarzmienie rodzinnej Grecji, szlachetny Bessarion, oraz jak zaciekły wróg islamu, sędziwy Carvajal, jak wreszcie dwaj późniejsi papieże, bogaty Wenecjanin, Barbo, i ambitny Hiszpan, Roderigo Borgia, szło mu z moralną lub materialną pomocą na rękę. Zresztą i w samym kardynalskiem kolegium szemrano na zamiary papieża, przedkładano mu, że opuszczając Rzym, narazi państwo pa-

pieskie na szwank, opierano się wezwaniu, aby mu towarzyszyć w drodze.

Tymczasem zdawało się, że z zapadającego coraz bardziej na zdrowiu papieża życie uchodzi i dobiega kresu, medycy zaś napróżno szukali zaradczych środków. Tylko jeżeli ciało omdlewało w trawiących gorączkach, to nieugięta wola podtrzymywała ducha. Dnia 18 czerwca, w bazylice św. Piotra, po długiej modlitwie u grobu Apostoła i pożegnalnej przemowie, przewiesił papież na piersiach krzyżowe godło bojowników za wiarę, i ruszył w drogę. Śpieszno mu było do Ankony, na spotkanie doży oraz synów księcia medjolańskiego, których przybycie Francesco Sforza kilkakrotnie zapowiadał i którzy wespół z kilku innymi książętami włoskimi uczestniczyć mieli w wyprawie. Ażeby choremu oszczędzić wstrząśnień na złych gościach, postanowiono pierwszą część drogi do Ankony, aż po Otricoli, odbyć łodzią na Tybrze. Odprowadzony przez dworzan na Ponte Molle (dawny Pons Milvius), pożegnał tam papież kardynałów, z których jedni pozostać mieli w Rzymie i sprawować w jego zastępstwie rządy kościelne, a drudzy zdążać za nim łądem do Ankony. Koło Tor di Quinto, sterczącej do dziś dnia na Via Flaminia z gruzów starożytnego grobowca średniowiecznej strażnicy, obrócił raz jeszcze wzrok i spojrzał na niknący w oddali Rzym, a otaczający go towarzysze usłyszeli, jak drżącym od wzruszenia głosem żegnał Wieczne Miasto żałosnym zapewnieniem, że już go ono żywym więcej nie ujrzy.

Ponad Ankona, na wzgórzu, po którego stokach wiją się i pną coraz wyżej wzdłuż półkolistej zatoki strome i wąskie uliczki, w miejscu, gdzie stała niegdyś wspomniana przez Kattulla świątynia Wenery, wznosi się stara bazylika św. Cyryjaka. Kształtna jej bizantyńska kopułka, jedna z najstarszych kopuł na ziemiach włoskich, sterczy ponad okolicą i jakby sygnał morski wita już zdaleka zawijające do Ankony okręty. Z portyku przed kościołem roztacza się wspaniały widok najpierw

na podścielone piętrami aż do jego stóp miasto, niżej na port i kołyszące się na fali okręty i łodzie, wreszcie na lśniącej w blaskach południowego słońca, ogromne, modre zwierciadło Adriatyku. Żaden pomnik, żaden napis nie przypomina tam Piusa II. Ale wyobraźnia podróżnika, stojącego dziś pod cichą średniowieczną bazyliką, wybiega po tych rozpostartych przed nim, dalekich wodnych szlakach, wiodących na Wschód, i goni za płomienną myślą wielkiego papieża, która przez cały jego żywot w tę skierowana stronę, tu, na tem miejscu, rozwiała się tragicznie i zgasła.

Po uciążliwej drodze z Rzymu, przerywanej częstemi postojami wskutek nadmiernych upałów i ponawiających się w coraz krótszych odstępach ataków febry chorego papieża, dnia 18 lipca 1464 r. stanął nareszcie konwój w Ankonie i Pius II wysiadł w sąsiadującym z kościołem św. Cyrjaka pałacu arcybiskupim. Ostatnie mianowicie dni podróży przygotowały go na to, co go czekało w Ankonie. Po drodze spotykano bowiem ciągle luźne gromady Krzyżowców, którzy znęcani długiem wyczekiwaniem, zmęczeni i wynędzniali, tłumnie wracali się do domu. Oddany całą duszą Piusowi II powiernik jego, kardynał Ammanati, opowiada w obszernem sprawozdaniu z owych dni,¹ jaka troska malowała się na ten widok na bladym obliczu chorego papieża, aż towarzysze podróży, przy ponawianiu się takich spotkań, zaciągając poczęli litośnie zastony lektyki, aby mu oszczędzić bolesnych wrażeń. W samej Ankonie panował nieład; wśród nadbiegłych tam z tak różnych stron ochotników wybuchały kłótnie i spory; szczególnie Hiszpanie i Francuzi ścierali się ostro pomiędzy sobą, a stary kardynał Carvajal, wydelegowany przez papieża do utrzymywania porządku, zaledwie cień dyscypliny wśród niesfornych żywiołów, nie mających własnego przełożenia,

¹ *Jacobus Card. Papiensis Francesco Piccolomineo Card. Sen. de infirmitate et morte Pii P. M.* (druk. w dalszym ciągu *Comment. Pii II. Romae, Basa, 1584*).

zaprowadzić zdołał. Książęta włoscy, mimo tylkokrotnych przyrzeczeń, nie stawiali się na oznaczony termin w Ankonie, a Francesco Sforza, wbrew danej obietnicy, nie przysyłał ani synów, ani posiłków. Przecież i z szczupłymi siłami, jakie zastał, gotów był papież ruszyć na wyprawę, ufny do końca, że przykładem własnym zagrzeje i porwie drugih. Ale nie starczyło mu okrętów na przewóz wojsk, a kardynał Forteguerri, który płynął z galerami papieskimi z Pizy, donosił z postojów w Apulji, że wśród załogi wybuchła zaraza i wiatry przeciwne hamują żeglugę, że więc nie zdoła prędko zdążyć do Ankony. Z Wenecji wreszcie, z Wenecji, na którą papież najwięcej i najpewniej liczył, nie przybywał nikt. Codziennie wyglądano ze wzgórz św. Cyrjaka, czy od północnej strony nie nadpływają okręty z godłami św. Marka na żaglach. Wschodzące słońce wyłączało każdego rana rozległą wodną przestrzeń i chyliło się wieczorem na drugą stronę półwyspu, lecz na modrych szlakach nie bieleł się nigdzie żagiel, i jak daleko sięgał wzrok strażników, wszędzie było cicho i pusto. Na domiar złego przybyli do Ankony posłowie dalmatyńscy donieśli, że wzdłuż ich wybrzeży ciągnie potężna armja turecka i że lada dzień pod jej naporem padnie Ragusa. Na szczupłą liczbę łodzi, któreimi rozporządzał, rozkazał papież natychmiast ładować zboże, i sam zrywał się, ażeby z małą garstką nadwornych swoich łuczników śpieszyć na odsiecz zagrożonemu miastu, aż po kilku dniach drugi posłaniec doniósł, że Turcy zawrócili nagle z drogi i cofnęli się ku granicom Bośni.

Zawody, troski i niepokój, a przedewszystkiem próżne wyczekiwanie niepojawiających się tak długo Wenecjan; doniesienie, że doża wsiadł wprawdzie na okręt, ale że zamiast ku Ankonie, popłynął na wybrzeża istrjańskie, gdzie miał rzekomo kończyć dopiero zbrojenia; wreszcie widok topniejących z dniem każdym ochotniczych zastępów krzyżowych, które coraz tłumniej opuszczały Ankone — wszystko to wyczerpało do reszty wątłe siły niedźwigającego się już z posłania i tra-

wionego gorączką papieża. Lekarze zapowiadali zbliżający się szybko koniec, a w gronie kardynałów, zebranych w Ankonie, przestano się zajmować krucjatą, i roztrząsano już tylko plany i kombinacje przyszłego *conclave*. I właśnie przelotne skrzepienie się chorego, jakby ostatni płomyk w dogasającym ogniu, dało chwilę otuchy otaczającym łożo chorego, najbliższemu jego towarzyszom, kiedy strażnicy portu dojrzelili nagle na dalekim widnokręgu białe żagle nadpływających od północy okrętów: po tylu spóźnieniach i zwłokach przybywała nareszcie flota wenecka.

Natychmiast wysłał papież poselstwo, złożone z kardynałów i wysokich dworskich dostojników, na powitanie doży, a siebie przysunąć kazał z łożem pod zwrócone ku morzu okno i długo wpatrywał się w zawijające do portu okręty. »Dotąd — zawołał — brakowało mi floty, teraz mnie samego flocie zabraknie!« Istotnie nie myliło go przeczucie. Naznaczone na dzień następny przyjęcie doży odwołać musiano z powodu zanikających sił papieża. Cristoforo Moro, o którym nieprzebiegający nigdy w przymiotnikach Marin Sanuto¹ zresztą pisze, że był »mściwym, fałszywym i skąpym hipokrytą«, i który za późniejszym, ale tak znamienym świadectwem Machiavella² przybył z okrętami weneckimi do Ankony *piuttosto per mostrare la pompa loro* — »raczej aby się ich wspaniałością popisać«, — przysłał zaraz własnego medyka do łoża chorego, pozornie z gorliwej troskliwości o jego zdrowie, właściwie zaś, aby się dowiedzieć, czy pod sprawozdaniem kardynałów o jego stanie nie kryje się jakiś wybieg czy wykręt polityczny. Medyk powrócił z wiadomością, że naprawdę nadchodzi koniec. Nazajutrz po przyjęciu wiatyku i olejów świętych żegnał Pius II zgromadzonych wokoło siebie dworzan,

¹ Sanuto, *Vitae ducum Venetorum* (Muratori, *Script. rer. ital.*, t. XXII).

² Niccolò Machiavelli, *Istorie Fiorentine*. VII, 9.

a w słowach zwróconych do wiernego biskupa z Pawji, kardynała Ammanati, jakoby testamentem dla świętego kolegium, przekazywał mu, aby przypominał braciom obowiązek świętej wojny. *Vae vobis, vae vobis, si opus Dei deseritis* — »biada wam, biada, jeżeli dzieła Bożego zaniechacie« — brzmiało ostatnie, przedzgonne napomnienie pasującego się ze śmiercią papieża. W nocy z dnia 14 na 15 sierpnia wyzionął Pius II ducha, a w dwa dni potem, po odprawionych w kościele św. Cyryjaka egzekwjach, ruszył kondukt żałobny w otoczeniu kardynałów, spieszących na *conclave*, do Rzymu. Na okrętach weneckich rozpięto zaś natychmiast żagle i doża z flotą opuścił Ankonę. Ale droga, którą obrał, nie wiodła na wschód, tylko powrotnym szlakiem ku Wenecji.

W kilkadziesiąt lat po śmierci Piusa II, starszy towarzysz Rafaela ze szkoły Perugina, Bernardo Betti, zwany il Pinturicchio, rozłożył w szeregu fresków na ścianach »librerii« przy wspaniałej katedrze sienieńskiej szereg najważniejszych epizodów z życia Eneasz Sylwjusza. Wybornie po dziś dzień zachowane, w świeżym blasku barw, a w minjaturowem niemal wykończeniu, wyglądają te malowidła na tyleż kart, wyrwanych z olbrzymiego średniowiecznego psalterza, na dzieło misternej owej sztuki . . . *ch' alluminare è chiamata in Parisi*,¹ jak już o niej mówi Dante. Żywszej, bogatszej ilustracji włoskiego *quattrocento*, rozmiłowanego w kolorach, w strojności i zbytku, nie pozostawił po sobie żaden chyba z ówczesnych artystów. Obyczaj dworski w całej swojej świetności i przepychu maluje się w kawałkach kardynała Capranica, któremu towarzyszy młody Piccolomini w drodze na sobór do Bazylei, albo w posłuchaniu, udzielonem przez króla Szkocji posłującemu na jego dwór Eneaszowi, lub przedewszystkiem w pierwszym spotkaniu Fryderyka III z narzeczoną mu Eleonorą Portugalską, którą tenże Eneasz, naówczas już biskup z Triestu, przy-

¹ »...którą alluminacją nazwano w Paryżu« (*Purgat.* XI, 81).

wiózł był cesarzowi z Neapolu do Sieny. Humanizm natomiast przemawia z innego fresku, gdzie na tle idealnego renesansowego portyku zdobi cesarz Fryderyk skronie kłęczącego u jego stóp Piccolominiego laurowym wieniec poety. Pompa i powaga średniowiecznej hierarchji występuje zato w pełnym majestacie na obrazach, przedstawiających nadanie przez Kaliksta III Eneaszowi Sylwiuszowi kardynalskiego kapelusza, potem składanie mu po wyniesieniu na Stolicę Apostolską przez kolegium kardynalskie pierwszego hołdu, wreszcie uroczystość dokonanej przez niego kanonizacji sienneńskiej jego rodaczki, św. Katarzyny.

Na ostatnim z rzędu obrazie gotuje się Pius II w Ankonie na wojnę świętą: w dali błękitnieje morze, zasiane, jak stadem łabędzi, śnieżnymi żaglami okrętów; bliżej piętrzą się warowne mury twierdzy, a na tem tle ukazuje się z trójkoronną tiarą na głowie papież, którego niosą wśród świeckiej i duchownej świty na szkarłatnej *sedia gestatoria*; z przodu, na pierwszym planie, kłęczy po jednej stronie starzec, przybrany w złocisty, gronostajem podszyty płaszcz wenecki, — zapewne sam doża, Cristoforo Moro, — a naprzeciw niego, w zielonej szacie i z białym turbanem na głowie, Turek; którego wyraziste, ostre rysy przypominają znany z ówczesnych medali, oraz z portretu przypisywanego Gentilemu Bellini, charakterystyczny profil Mahometa II. Ale mistrz umbryjski, wierny tradycjom szkoły, natchnionej zawsze pogodnym nastrojem umbryjskiego krajobrazu, jak innym zresztą, tak i tej scenie z życia Piccolominiego nadał sielankową niemal cechę i tragedję ostatnich jego chwil w Ankonie przemienił jakoby w nadmorską idyllę. I tylko »znienawidzony cyprys«, *invisa cupressus* — jak już Horacy nazywał to drzewo cmentarzy i grobów — dużą ciemną plamą rzuca na ten obraz jakoby jakiś cień żałobny.

A tę żałobę, ten tragizm chwili, odczuło już wielu ze współczesnych. *E questa fine ebbe la laudabile impresa di Papa Pio, colpa e cagione de pessimi e iniqui Christiani* —

i taki koniec miało chwalebne przedsięwzięcie papieża Piusa, z winy i przyczyny złych i niegodziwych chrześcijan — mówi jeden z ówczesnych pisarzy,¹ streszczając w tych słowach marny, rozegrany w Ankonie epilog czterowiekowej prawie polityki państw chrześcijańskich względem półksiężyca. W rzeczywistości bowiem był Pius II ostatnim przedstawicielem tych średniowiecznych pokoleń, w których sumieniu brzmiał jeszcze wzniesiony niegdyś w Clermont z taką chwałą okrzyk: *Deus lo volt*. Przeliczył on się z pewnością w ocenie swego wpływu na ówczesną, tak rdzennie już zmienioną społeczność chrześcijańską. Ale obliczenie sił chrześcijańskich nie było złudzeniem, bo sił tych starczyło bezsprzecznie, aby stawić czoło wdzierającej się do Europy, lecz nie rozsiadłej w niej jeszcze potędze tureckiej, i aby ją odeprzeć w jej azjatyckie granice. Dopiero też z chwilą jego zgonu, zalane w potopie tureckim europejskie ziemie stały się naprawdę turecką własnością, a chrześcijańską Europę zepchnięto i skazano odtąd na odporną już tylko walkę. Wyobraźnia zaś maluje sobie obraz chrześcijańskiego świata, jakby wyglądał, gdyby znalazł był na czas posłuch głos wielkiego papieża-humanisty, nawołujący, aby Turków, zanim w niej zapuszczą korzenie, wyrwać i wyżenąć z Europy. Cisną się mimowoli do głowy pytania, jaką byłaby Polska, nie skazana wieczną »potrzebą turecką« na ciągle pogotowie wzdłuż południowych swych kresów, na ciągły haracz krwi i mienia, który gdzieindziej był jej potrzebniejszy, ale którego już nie starczyło gdzieindziej; co by się było stało z cesarstwem, gdyby nie krępowane przez ustawiczną i tam *Türkennoth*, mogło było u wyjścia ze średnich wieków podjąć i rozwiązać tyle niezbędnych reform i w spokoju przeprowadzić rozrachunek z inną rozsadzającą je reformą, — z reformacją; co by się działo na Bałkanie, gdyby burza turecka

¹ *Diari Sanesi di Allegretto Allegretti* (Muratori, *Script. rer. ital.*, t. XXIII).

nie była wówczas tamtejszych Słowian bądź przypawiła o śmierć, bądź skazała na równą śmierci, kilkusetletnią martwość, ale gdyby się tam był ostał i wcześniej rozwinął wielki odłam Słowiańszczyzny na przeciwwagę wspólnie z Polską wobec zlepiającego się właśnie i do potwornych rozmiarów rozrastającego państwa moskiewskiego; słowem, jakby wyglądała Europa, gdyby zagoiła była na czas otwartą w jej boku w XV w. ranę, która odtąd jątrzyć się miała bezustanku i jako kwestja wschodnia zakłócać przez długi ciąg wieków pokój całego świata.

Następcy Piusa II, najpierw Paweł II, potem Sykstus IV, nie zaniechali myśli wojny krzyżowej. Ale nie była już ona u nich, jak u ich poprzednika, sprężyną kierowniczą wszelkich poczynañ. Paweł II nie posiadał silnej jego woli i wytrwałości, a Sykstus IV, wciągnięty nieszczęsnym wpływem przewrotnych nepotów, Riariów, w wiry polityki włoskiej, polityki, która rychło wydała krwawy plon w słynnym sprzysiężeniu Pazzich we Florencji, nie miał zgoła przymiotów, potrzebnych na łącznika we wzmagającym się z dniem każdym wokoło niego rozstroju. Słabość Zachodu umiał natomiast Mahomet II po mistrzowsku wyzyskiwać dla swoich celów zaborszych. Zdobyć za pontyfikatu Pawła II Negropontu, dawnej Eubei, a dotychczasowego ośrodka wojskowych kolonij weneckich na archipelagu, oddało Turkom panowanie na morzu Śródziemnem, otwarło im drogę na Adrjatyk i odsłoniło od Wenecji po Otranto wybrzeża włoskie. »Świetność i powaga Wenecji — pisał w onych dniach jeden z jej kronikarzy¹ — runęła, a dumę naszą starto na proch«.

Od północy lądem, po podboju Albanji, której nie zasłaniał nadal dzielną swą pierśią zmarły w onych właśnie latach Skanderbeg, »Chrystusowy atleta«, jak go w chrześcijańskim świecie zwano, poczęli bowiem odtąd Turcy wdzierać się przez Bośnię, Dalmację, Istrię do Friulu, gdzie pustoszyli aż po Piawe

¹ Malipiero, *Annali Veneti* (Archiv. stor. ital. T. VII).

żyzne okolice. W lipcu 1480 r. uderzył zaś nagle Mahomet od południa na wybrzeża włoskie, i lądujące jego wojska zdobyły Otranto. Od trzydziestu blisko lat, bo od wzięcia Konstantynopola, wisząca nad półwyspem apenińskim zmora, stawiała się rzeczywistością: po zdobyciu Bizancjum, podboju krajów bałkańskich i szeregu wysp na archipelagu, przychodziła teraz kolej na same Włochy, których bogactwa nęciły oddawna chciwość turecką, i gdzie opór, stawiany mu przez papieży, jętrzył jeszcze bardziej gniew groźnego sultana. Jak za pojawieniem się jastrzębia cichnie nagle i skupia się swarliwe ptactwo, tak przycichły odrazu kotłujące w owej chwili silniej niż kiedykolwiek waśnie i niezgody wśród miast i książąt włoskich. Zaczęto porozumiewać się nawzajem i jednaczyć, i wyrównała się nawet przepaść, dzieląca od sprzysiężenia Pazzich Rzym i Florencję. Wszyscy godzili się tym razem na konieczność niesienia pomocy dotkniętemu w pierwszej linii zdobyciem Otranta przez Turków królestwu Neapolitańskiemu. Coprawda, wołając o tę pomoc, groził cynicznie król Ferrante ze swojej strony wszystkim, że jeżeli mu jej na czas nie udzielią, to przyjmie wszelkie warunki, które mu sultan na ich podyktuje zgubę, i sam otworzy Turkom drogę na Rzym. Co więcej, dzięki energicznym zabiegom Giuliana della Rovere, późniejszego papieża Juliusza II, a naówczas legata Stolicy Apostolskiej we Francji, nawet tak oporny dotąd Ludwik XI obiecywał teraz papieżowi zasilki w ludziach i pieniądzach. Ale strachu, który po upadku Otrantu opanował wszystkich, nie chyba nie znamionuje wymowniej, niż owo w onych dniach właśnie przestane temuż kardynałowi della Rovere przez Sykstusa IV do Francji zlecenie, aby mu na wszelki wypadek przygotował schronisko w starym zamku papieskim w Avignon. Po stu latach od powrotu papieży do Rzymu ponownie więc Rzymowi groziło sieroctwo, ale tym razem tragiczniejsze, bo spowodowane sromotną klęską Krzyża.

Wtem, pośród gorączkowych przygotowań obrony, bo w chwili tworzenia się opartej na szerokich podstawach Ligi,

kiedy z papieżem, któremu pomoc obiecywała tym razem i Francja, łączyły się do wspólnej przeciw Turkom akcji Aragonja i Portugalja, Węgry i Neapol, książęta Medjolanu i Ferrary, margrabiowie Mantui i Monferratu, Florencja i Genua, Bolonja i Lukka, padła z końcem maja 1481 r. i w mig się rozeszła wieść, że na dalekim Wschodzie, na anatolskich stepach, gdzie gotował się właśnie na nową rozprawę z rodyjskim Zakonem św. Jana, długoletni postrach chrześcijańskiej Europy, niezwyknięty dotąd Mahomet II rozstał się z tym światem. Huk dział z Zamku św. Anioła, rozpalone na wzgórzach miejskich ognie, bicie we dzwony we wszystkich kościołach i dziękczynne procesje przeciągające przez miasto zwiastowały Rzymianom zgon groźnego zdobywcy Bizancjum. Przeczornie atoli przypominał papież w listach, rozesłanych natychmiast na wszystkie dwory i do wszystkich rządów, że skorzystać należy wlot z tej jedynej chwili, aby wspólnym wysiłkiem, choćby już tylko dla obrony bliższych, własnych granic, uderzyć na Turków.

Historja obfituje po wszystkie czasy w niespodzianki i na niebadanych drogach Opatrzności krzyżują się i wiktają nieprzewidzianie a opacznie poczęcia ludzkie. Żadna epoka nie znaczy się przecież tak kalejdoskopową iście zmiennością, jak ów zmierzch średniowieczny w drugiej połowie XV wieku we Włoszech. Wypływało to z charakteru, a raczej braku charakteru ówczesnych ludzi. Ci ludzie, rozmiłowani w pięknie, które było dla nich jakby życiową potrzebą, jakby warunkiem doczesnej szczęśliwości, zdumiewać będą zawsze twórczością w sztuce, której po nich tyle i takich pozostało pomników. Ale piękna szukali oni obok siebie, nie w sobie, twórczość ich ograniczała się do sztuki, a w życiu byli rozkładowi na wskrós. Toteż z wyjątkiem Rzymu, gdzie apostołstwo krucjaty, nawet w tej epoce zeświecczenia i upadku, strzegło w polityce choćby tego jednego idealnego pierwiastku, — z wyjątkiem Wenecji, gdzie karność i dyscyplina zdołała podporządkować poszczególne

ambicje pod dobro publiczne i stworzyć w ten sposób wielki, zdrowy patriotyzm Wenecjan, który im dał siłę przetrwać nawet taką burzę, jaka na nich nadciągnęła w Lidze z Cambrai, — w reszcie półwyspu nie było już miejsca dla szerszej politycznej myśli, ani siły do wcielenia jej w czyn. Rozwiewał się tam więc z dnia na dzień, jak dym, każdy zamiar wspólnie poczęty, nie dotrzymywaną danych słów i obietnic, łamano wszelki układ i przymierze, a egoizm, wybujały do potworności, rodził wszędzie niezgodę i zawiść, które się stały istotą i treścią narodowego włoskiego życia, wyczerpały jego siły i zawiodły do katastrofy XVI wieku.

Równie przelotnym był i ów zgodny wysiłek państw włoskich w 1481 r. Udało się wprawdzie flocie papieskiej, połączonej z okrętami genueńskimi, a posilkowej przez wojska neapolitańskie od strony lądu, wydrzeć Turkom Otranto, ale na tem skończyła się założona na szerszą skalę akcja Sykstusa IV. Już przy podziale łupów przyszło do sporów, które unieruchomiły odrazu zwycięzców, Turkom zaś ułatwiły spokojny odwrót z Apulji. Z odprężenia po śmierci Mahometa II wynikło wnet zupełne rozprężenie, i już następnego roku zawrzały bardziej niż kiedykolwiek zawzięte walki wewnętrzne na włoskim półwyspie, podzielonym znów na dwa obozy, na czele których stali: po jednej stronie wyzwolony świeżo ze zmory tureckiej przez odzyskanie Otranta król Ferrante neapolitański, po drugiej zaś, w przymierzu teraz z Wenecją, wciągnięty znów w wiry włoskie, sam Sykstus IV.

Nawylot poznali Turcy od wzięcia Konstantynopola słabość Zachodu. Toteż gdy wielki wezyr odwoził tam zwłoki sultana Mahometa, troszczył się tylko o następstwo, ale nie lękał o los samego tronu, który osadzony głęboko przez zmarłego zdobywcę w granicach europejskich, stał już na wydartej chrześcijanom ziemi niewzruszony i silny. Bo ze śmiercią Piusa II w Ankonie zamarła w chrześcijaństwie chęć odwetu na Turkach, tyłowieczna myśl wojen krzyżo-

wych. Odtąd i aż po koniec XV wieku miejsce jej w polityce Zachodu względem Turków zajęły małe, wykrętne zabiegi i intrygi, których marną ofiarą paść miał drugi syn sultana Mahometa, książę Dżem.

III

D Ż E M.

Zmarły w r. 1481 sultan-zdobywca, Mahomet II, pozostawiał po sobie dwóch synów, Bajazeta i Dżema. Ale sprawa sukcesji, nie określona jasno i nie obwarowana ustawą, przy każdej niemal zmianie panowania wywoływała zamęt, a prowadziła często do krwawych dynastycznych tragedij. Już założyciel państwa otomańskich Turków, Osman, stracić był kazał stryja, w kilkadziesiąt lat po nim Bajazet I jednego z braci, a podobnie i sam Mahomet II znów po trupie brata wstąpił na tron. Co więcej, w ustawie zasadniczej uznał on bratobójstwo za uprawnione i godziwe, jeżeli stanowiło »rękomię spokoju i bezpieczeństwa świata.«¹ Wobec czysto wojskowego ustroju państwa, jak niegdyś w Rzymie od pretorjanów, zależało przecież i w Turcji następstwo tronu przedewszystkiem od janczarów. Żywa dziesiącina z dzieci, którą ściągano z zawojowanych chrześcijan, dzieci, chowanych następnie w surowej karności a w dzikim fanatyzmie islamu na *jeni-czeri* — nowe wojsko — czyli na janczarów, dostarczało sultanom za życia narzędzia siły, które odmładzało się wiecznie i nie rdzewiało nigdy. Zato po ich śmierci spuścizna ich przechodziła w ręce janczarów, bo oni rozstrzygali zwykle o jej losie. Tak się rzecz miała i po śmierci Mahometa II. Umierając prawie nagle, nie zdążył on uregulować praw sukcesji. Ale za życia

¹ Józef Hammer, *Geschichte des Osmanischen Reiches*, Pest 1828, t. II, rozdz. 18.

blizszym mu był młodszy syn, Dżem¹. Ku niemu skłaniał się też wielki wezyr, który z tego powodu utrzymał śmierć swego pana w tajemnicy, a zawiadomił o niej tylko obu synów zmarłego, stojących na czele odleglejszych prowincyj azjatyckich; w ten sposób zdawał ostrożnie rzecz na los szczęścia, wyczekując, który z obu współzawodników pierwszy zdąży do Konstantynopola i obejmie rządy. Gońca wysłanego do Dżema pochwylił atoli po drodze i uwięził też Bajazeta. Gdy zaś równocześnie zdradzono w stolicy złe strzeżoną tajemnicę i wieść o śmierci sułtana Mahometa rozeszła się wśród koczujących pod miastem obozów, nic nie zdołało utrzymać na wodzy janczarów, którzy ruszyli na Konstantynopol i zajęli miasto. Pierwszą ich ofiarą padł sprzyjający Dżemowi wielki wezyr, a gdy w kilka dni później książę Bajazet zdążył z odległej swej prowincji Amazji i stanął pierwszy u bram Konstantynopola, całe wojsko wyległo na jego spotkanie i wprowadziło go triumfalnie, jako nowego sułtana, do stolicy.

Ale Dżem nie dawał za wygraną. Tytuł prawny do następstwa tronu opierał przedewszystkiem na tem, że brat jego, Bajazet, urodził się w czasie, kiedy ojciec ich, Mahomet, nie był jeszcze sułtanem, i to z matki niewolnicy, kiedy natomiast on sam przyszedł na świat w r. 1459, a więc już za panowania ojca, matką zaś jego była uprowadzona niegdyś wśród zdobywczych wypraw tureckich i zamknięta odtąd w sułtańskim haremie branka z dostojnego rodu królów serbskich. Prócz tego miał młody książę w azjatyckiej Turcji wielu zwolenników, na których poparcie liczył. Wychowany przez greckich i arabskich uczonych w słynnej szkole islamistycznej w Kastemuni, odznaczał się on wcześniej zdolnościami, a lgnął przedewszystkiem do bogatej poezji Wschodu. Już zamlodu tłumaczył dla ojca na język turecki perskie poematy, następnie zaś i sam pisał w ojczystym języku wiersze, które mu

¹ Współcześnie greccy pisarze zowią młodszego syna Mahometa II *Zemas*, łacínscy i włoscy *Zizimus*, *Zizim*, albo *Gem*.

w literaturze tureckiej poczesne zapewniły miejsce¹. Obok tego nie zaniedbywał rycerskich ćwiczeń gimnastycznych i jako silacz w ręcznych zapasach nie miał sobie równego. Wyszczególniające łaski ojcowskie jednała mu przecież w pierwszym rządzie wygórowana ambicja, w której ojciec upatrywał odblask własnych dumnych pragnień. Znakiem tej łaski było powierzenie mu przez Mahometa II rządów nad świeżo zdobytą Karamanją. Tam, w stolicy Konieh, dawnem Iconium, doszła go wieść o śmierci ojca.

Natychmiast ruszył na pogranicze Bitynji i zajął starą turecką stolicę, Bruszę. Ogłaszając się sułtanem, wysłał atoli równocześnie poselstwo do brata w Konstantynopolu z zapewnieniem pokoju i przyjaźni, byle mu Bajazet odstąpił azjatycką spuściznę po ojcu, a zadowolił się europejskimi jego zdobyczami. Wysłannicy powoływali się na stare wschodnie przysłowie, że »żyźna ziemia, na której jedno tylko rośnie drzewo, nie wyda tyle owoców, ile ich dać powinna«, i wzywali do bratniej zgody. Inną, pozytywniejszą sentencją arabską, że »między królami niemasz pokrewieństwa«, odpowiedział mu Bajazet. Rozstrzygnięcie sprawy pomiędzy sobą a bratem powierzył on orężowi janczarów, i po kilkunastodniowych zaledwie rządach w Brussie, pobity na głowę, musiał Dżem uchodzić i szukać schronienia w Egipcie.

Panujący tam właśnie Mameluk, przezorny Kait-bey przyjął zbiega z wyszukanemi objawami czci, ale rad z niezgody, dzielącej synów Mahometa II, niezgody, która hamowała groźny i dla Egiptu rozmach młodej otomańskiej potęgi, nie spieszył się z udzieleniem pomocy, na którą Dżem napewno liczył. Z przymusowych czasów skorzystał więc młody pretendent, aby z Egiptu odbyć pielgrzymkę do Mekki. Odpowiadało to głębokim jego uczuciom prawowiernego muzułmanina, a z innej

¹ Hammer-Purgstall, *Geschichte der Osmanischen Dichtkunst*. Pest 1836.

strony spodziewał się, że w bezpośrednim zetknięciu z pielgrzymami, których tak liczne zastępy ścigały zewsząd do świętych miejsc Proroka, rozgłosi swoje imię pośród różnolitych szczepów islamu i zdoła je dla własnej zjednać sprawy. Ale wszystkie te rachuby zawiodły, bo osiedlony w stolicy nad Bosforem i rozporządzający wojskową po ojcu sukcesją Bajazet był już panem położenia. Z umiarkowaniem, które go różniło korzystnie od innych członków dynastji Osmanów, wyznaczył bratu na rezydencję Jerozolimę i obiecywał szczodrym wyposażać go apanażem, lecz pod warunkiem, że wyrzeknie się na zawsze wszelkich zakusów współrządu. Ulegając wszelako właściwym pretendentom po wszystkie czasy złudzeniom, nie słuchał Dżem namów brata i ze słabą tylko pomocą dawnych władców Karamanji ruszył na nowe z nim w Azji Mniejszej walki, aż zwyciężony po raz drugi i ścigany przez wojska Bajazeta, zbiegł i ukrył się wśród dzikich wyżyn Taurusu. I tam to, na tem odległym pustkowiu, zrodziła się w nim dziwna u syna wielkiego pogromcy chrześcijan myśl, powierzenia swego losu chrześcijanom. A że najbliższym w tych krainach wschodnim posterunkiem chrześcijańskim był osiedlony na wyspie Rodus Zakon rycerski św. Jana, ku niemu zwrócił tułaczy wzrok.

Dwie wyspy po stronie Śródziemnego morza podzieliły pomiędzy siebie spuściznę wojen krzyżowych. Bliższy syryjskiego wybrzeża Cypr objął po nich spadek handlowy i stał się najdalej na wschód wysuniętą łacińską i chrześcijańską stacją kupiecką. Położony naprzeciw południowo-zachodnich wybrzeży Azji Mniejszej Rodus wziął zaś po Krzyżowcach schedę wojskową i wyrósł na ostatnią w tych stronach warownię chrześcijańską, odkąd Wielki Mistrz Foulques de Villaret przeniósł tam w r. 1309 Zakon rycerski św. Jana, a jeden z jego następców, Hélon de Villeneuve, zamienił całą wyspę w jedną potężną twierdzę. Poczerniałe wiekiem wynurzają się jej mury i baszty do dnia dzisiejszego, jak szereg posępnych skał, z wód archipelagu, wzbudzając podziw rzadkich zabłą-

SPIS RZECZY

	Str
Epilogi krucjat w XV wieku	
I. Po wzięciu Konstantynopola	5
II. Śmierć Piusa II.	13
III. Dżem	34
IV. Wyprawa Karola VIII na Włochy	56
Wenecjanie na Cyprze	85
Apologeta starości z XVI wieku	109
